

Lucky

Klaudia Max

– Kira. – Odwracam głowę w kierunku głosu. – Coś pomieszało się w zamówieniu, nie mogę odnaleźć książek z faktury.

– Kto je kompletował?

– Ten łysy z hurtowni – odpowiada Marta, nie szczędząc przy tym kpiącego uśmiešku. – Chyba znowu musisz do niego zadzwonić i wyjaśnić sytuację. Albo napisz w końcu skargę, że jest niekompetentny i cię nagabuje. Widzieliście się tylko raz i tyle wystarczyło, by ześwirował na twoim punkcie. Ponętna laska z ciebie, ale bez przesady, powinnaś coś z tym zrobić.

– Zrobię, jak przekroczy granicę, bo w tym momencie wezmą mnie za przewrażliwioną diwę. – Zerkam na ekran smartfona. Szczerze? Wolałabym kolejny raz odrzucać szczeniackie zaloty niż odbierać *to* połączenie. – Zadzwonisz do niego? – pytam Martę i nie czekając na jej odpowiedź, rzucam do słuchawki krótkie: – Hej, mammo.

– O której będziesz?

Standardowo, bez powitania, myślę z przekąsem, ale oczywiście nie komentuję.

– O osiemnastej zamykam i wtedy od razu do ciebie jadę.

– Nie możesz wcześniej? – Zamykam oczy i oddycham głęboko. Liczyć do dziesięciu nie mam po co, bo wiem, że Ludmiła i tak jak zwykle zirytuje mnie kolejnym zdaniem. – Co z ciebie za bizneswoman, że nie możesz wyjść wcześniej z własnej firmy?

– Bo prowadzę księgarnię, która jest otwarta do *osiemnastej* – podkreślam. – A jako odpowiedzialna szefowa nie zostawię pracownika samego w godzinach największego ruchu.

Tak naprawdę piątkowy wieczór to nie pora, kiedy tłumy garną się do odwiedzin tego rodzaju przybytku i rozkoszowania się pięknymi okładkami woluminów, ale tego moja matka raczej nie wie.

– Nie pyskuj. – *Norma*. – Ofelia nie będzie czekać w nieskończoność, masz być o dziewiętnastej. Dobrze wiesz, że trzeba pomyśleć nad dekoracjami i rozsądzeniem gości.

– Po pierwsze, do wesela jest jeszcze miesiąc. Po drugie, gości mam już posadzonych. Po trzecie, nie chcę dekoratorki wewnątrz i tego całego przepychu, mówiłam ci o tym.

– Chyba sobie kpisz. Jak ja spojrzę w oczy moim dziewczynom?

– Nie wiem, jaki one mają z tym związek – odpowiadam cierpliwie.

Mamine *dziewczyny* to nic innego jak grupka dziewięciu kobiet, równie *zapracowanych* co Ludmiła (czytaj: mąż tyra, ona wygląda), których ulubionym zajęciem (poza obowiązkową jogą we wtorki i zumbą w czwartki) są spotkania przy winie i plotkach.

– Taki, że będą na weselu.

Nagle uderzenie gorąca chwieje mną niebezpiecznie, ale szybko odzyskuję rezon. *Ona oszalała...*

– A skonsultowałaś to z najbardziej zainteresowanymi tym dniem osobami?

– Ty dobrze się czujesz? Oczywiście, że rozmawiałam z dziewczynami.

Boże, daj mi cierpliwości...

– A z parą młodą? – pytam z przekąsem, ale nie czekam na odpowiedź. – Kto za nie zapłaci?

– Nie przesadzaj. Wychodzisz za właściciela międzynarodowej firmy transportowej, stać was. A zresztą... jak chcesz, skoro tak traktujesz moje przyjaciółki, to może i ja nie powinnam przychodzić.

Ludmiła rozłącza się bez pożegnania, a ja liczę do dziesięciu, chociaż wiem, że nawet to mi nie pomoże. Czuję zbierające się pod zaciśniętymi powiekami łzy, jedna z nich właśnie draży wilgotny ślad w moim makijażu.

Mam dwadzieścia siedem lat, niedługo zostanę mężatką. Doskonale wiem, że powinnam wyrwać się z wpływów szantażu emocjonalnego mojej matki, którego jest mistrzynią, ale nie potrafię. Ludmiła mnie urodziła i na swój sposób wychowała, a odkąd rozwiedli się z ojcem i matka przeżyła załamanie, czuję się za nią odpowiedzialna.

– Znowu to samo?

– Niestety – odpowiadam Marcie, która zna moją sytuację. Nic dziwnego, pracuje ze mną od samego początku i to ona pomagała mi rozkręcić ten biznes. Jest moją prawą ręką i bliską przyjaciółką, a ja jestem wdzięczna, że ją mam. – Czasami naprawdę mam wrażenie, że jestem adoptowana, bo z matką kompletnie się różnimy, a nie widzę też podobieństwa do Jacka.

– Myślę, że masz po nim cierpliwość. W końcu wytrzymał z nią dwadzieścia cztery lata. – Marta przygląda się mi uważnie. – Będzie na weselu?

– Tak, przyleci tydzień wcześniej ze Stanów. – Uśmiecham się na samą myśl o spotkaniu z ojcem. – Nie mogę się doczekać.

– Ja też. Zawsze miałam słabość do twojego staruszka... – Marta śmieje się do rozpuku, widząc moją minę. – No co, przystojny facet z niego.

– Marta!

Mój ojciec? Cholera, dopiero zrozumiałam, dlaczego miałam tak wiele wizyt przyjaciółek w domu. Jasny gwint! A myślałam, że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach!

Zdecydowanie należę do tych kierowców, którzy przeklinają piątkowe popołudnia i drogowe zatory powstałe przez próbujące wydostać się z metropolii samochody. A szczególnie w tak ponurą, jesienną i przytłaczającą pogodę, gdy warunki do jazdy pozostawiają wiele do życzenia, tak samo jak rozsądek innych maniaków czterech kółek. Najwidoczniej efekty popisów jednego z nich zobaczę za bliżej nieokreślony czas, gdy w końcu ruszy się ten korek, w który wpakowałam się na obwodnicy miasta. Już nawet nie patrzę na zegarek, i tak będę spóźniona na spotkanie z matką i dekoratorką.

– Jakbym była im do czegokolwiek potrzebna – pryham pod nosem i zmieniam stację radiową.

Z głośników płyną nuty *Despacito*, które uwielbiam, chociaż jest już oklepane. Innymi słowy: lepiej trafić nie mogłam. Lubię takie klimaty i tyle. Niestety, piosenka szybko się kończy, po niej jeszcze trzy kolejne, a ja nadal stoję w miejscu. Wzdycham i sięgam po telefon.

– Co tam, kociaku? – Chociaż wkurza mnie, gdy Daniel tak mnie nazywa, to tym razem nie zwracam mu na to uwagi. – Są straszne warunki na drodze, mów szybko, co tam?

– Wiem, że nie powinnam dzwonić, jak prowadzisz...

– Kirka, co jest? Chciałbym porozmawiać, ale naprawdę nie mam czasu.

– Matka zaprosiła swoje przyjaciółki na wesele. Spróbuję jej przemówić do rozsądku, ale wiesz, jaka ona jest.

– To bez sensu. Niech przyjdą, może jak Ludmiła zajmie się nimi, to ty będziesz mieć ją z głowy. Nie przejmuj się pieniędzmi.

– Skąd wiedziałeś...?

– Bo znam cię praktycznie od dziecka. Nie przejmuj się tym – powtarza kojąco. – Muszę kończyć, zadzwonię na postoj.

– Kiedy wrócisz?

– Planowo za trzy dni, ale jak wyjdzie, nie wiem. Coś się chrzani z logistyką. Uważaj na siebie, Kirka.

– Ty też. Dan... – Sygnał zerwanego połączenia zatrzymuje mnie w pół słowa. Zresztą jak zwykle ostatnio. – Nieważne.

Dostrzegam ruch w lewym lusterku. Kolejny maniak adrenaliny i rozwalonych samochodów próbuje właśnie zawrócić przez pas zieleni, ale przecenił możliwości swojego pojazdu. Obniżone bmw zawisa na krawężniku, a do mnie nawet przy zamkniętych szybach dociera trzask pękającego zderzaka.

Kretyn, ale pomysł ma dobry.

Powtarzam ruchy nieszczęśliwego kierowcy, który spogląda z zazdrością na mojego jeepa, gdy bezproblemowo przecinam trawnik i wylatuję na drugą jezdnię.

– A teraz zwiewamy, dopóki nie ma policji.

Jestem wściekła. Absolutnie i totalnie wkurzona, ale tak to jest, gdy jesteś tak miękką fają jak ja i nie potrafisz postawić na swoim. Zamiast siedzieć w domu, pod ciepłym kocem, z gorącą herbatą z cytryną oraz kryminałem w ręku, to przyciskam nos do szyby, próbując dostrzec cokolwiek w tej cholernej ulewie!

Szalejące na maksa wycieraczki nie pomagają w przebicciu się przez ten wodospad z nieba, a ja jestem na jakiejś zapyziałej drodze powiatowej między nieznanymi mi wiochami, bo tak mnie poprowadził przeklęty GPS!

– Ostatni raz, przysięgam – warczę, by dodać sobie otuchy. – Dość matriarchatu i chorych ambicji Ludmiły.

Do kropel deszczu dołączyły łyzy smutku i rozpaczy. Po co ja się staram? Od tylu lat poświęcam swój czas, zaprzędaję wartości, oddaję we władanie matki swoją wolność, a w zamian dostaję jedynie pogardę. Już dawno przestałam marzyć o odrobinie wdzięczności. W końcu jestem jej córką i to mój pieprzony obowiązek być na każde skinienie Ludmiły... I Daniela, tak szczerze mówiąc.

Dlaczego nie potrafię postawić na swoim?

– Naprawdę powinnam iść do psychologa – wzdycham, prawą ręką sięgając do tkwiącego w uchwycie kubka termicznego. – Cholera, głodna jestem.

W sumie nic dziwnego, jadłam około południa, a jest już grubo po dziewiętnastej. Może powinnam poszukać stacji...

– Jasny gwint!

Mój wrzask roznosi się po kabinie jako akompaniament do gwałtownego ruchu kierownicą. Jeep wpada w poślizg, który staram się opanować, jednocześnie modlę się, by systemy bezpieczeństwa zadziałały. Kątem oka widzę, jak kontrolki szaleją od uderzenia w hamulec. Przytomnie wciskam sprzęgło i po całej wieczności, która zapewne trwa tylko kilka sekund, pojazd zatrzymuje się.

Kolejnym przytomnym odruchem wyłączam silnik, zabieram kluczyki i wybiegam w siarczysty deszcz. Moje nagie ramiona pokrywa dreszcz zimna, ale nie zawracam po płaszcz.

Muszę się upewnić, że to, co zobaczyłam, to był zwykły omam, bo jeśli nie...

Dopadam do szarego, szmacianego i przemoczonego worka, z którego dobiega ciche skomlenie. Dłonie mi drżą, gdy sięgam po jutowy sznur i uwalniam skuloną, trzęsącą się kulkę, a pisk przerażenia psiaka, gdy biorę go delikatnie na ręce, łamie mi serce. Nie zważając na to, że maluch jest we krwi,

przyciskam go do piersi i już po chwili otulam go szczelnie swoim płaszczem na tylnej kanapie jeepa.

– Kto ci to zrobił...?

Jest mi słabo. Ktoś wyrzucił to małe, przestraszone zwierzę na środku ulicy, zawiązane w worku... Jakim trzeba być potworem! Przecież ta dygocząca kulka prawie została zmiażdżona pod kołami jeepa!

– A niech ci fiut zwiędnie, złamasie. Albo cipka uschnie – złorzeczę. – Trzeba znaleźć ci lekarza – mruczę uspokajająco do psiaka. – Tylko gdzie ja go znajdę o tej porze...

Szybko wklepuję w Google frazę *lekarz dla zwierząt Etłk*. Przeglądarka poprawia mnie i sugeruje weterynarza, ale kto by w takiej chwili pamiętał o tak banalnych nazwach?! Szybko przeszukuję listę, a gdy trafiam na niejakiego Adriana Mordackiego, nie zastanawiam się długo. Koleś ma pięć gwiazdek w opiniach, więc musi być kumaty. Oby był na tyle empatyczny i oddany powołaniu, by poświęcić piątkowy wieczór na ratowanie niewinnej istoty. Z nadzieją wybieram jego numer.

– Mordacki – dociera do mnie niski, opanowany głos. W tle słyszę klasyczną muzykę i szmery rozmów. Cholera, ten facet na pewno jest na kolacji, nie ma szans, że nam pomoże. Już chcę się rozłączyć, gdy mężczyzna odzywa się jeszcze raz: – Halo?

– Znalazłam na ulicy psa – recytuję szybko. – Chyba szczeniak, jakby jamnik, zawiązany w worku, leżał na środku jezdni. Jest cały mokry i poobijany, widzę dużo krwi...

– Za kwadrans będę w gabinecie – przerywa mi.

– Nie wiem, gdzie to jest, nie zdążyłam...

– Wyślę wiadomość z adresem. – Po tych słowach rozłącza się, a po chwili przychodzi SMS. Na szczęście GPS pokazuje, że to zaledwie dwadzieścia minut drogi stąd, ale i tak modlę się o to, by nie było to zbyt długo.